

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### SAM

Bawiłem się w generała. Przez większość nocy głowiłem się nad strategią, jak najlepiej przeprowadzić konfrontację z Cole'em. Używając obrotowego fotela Becka jako fortecy, kręciłem się na nim w tę i z powrotem, gryzmołając fragmenty potencjalnego dialogu w starym kalendarzu i układając pasjansa. Jeśli wygram w tę grę, powiem mu, jakich zasad musi przestrzegać, jeśli chce zostać w tym domu. Jeśli przegram, nic nie powiem i zobaczę, co się wydarzy. Im dalej w noc, tym bardziej skomplikowane reguły sobie dyktowałem: jeśli wygram, ale zajmie mi to dłużej niż dwie minuty, napisze do Cole'a notatkę i przykleję ją na drzwiach jego sypialni. Jeśli wygram i najpierw wyłożę króla kier, zadzwonię do niego z pracy i przeczytam mu listę zasad przez telefon.

Pomiędzy kolejnymi rozdaniami wypróbowywałem zdania, które kłębiły mi się w głowie. Gdzieś tam były słowa, dzięki którym potrafiłbym wyrazić swoją troskę o Cole'a, nie brzmiące przy tym protekcjonalnie. Słowa, które były zarazem taktowne i pozbawione niepotrzebnych emocji. Ale nie wiedziałem, jak je odnaleźć.

Kilka razy wychodziłem z gabinetu Becka i kierowałem się ciemnym korytarzem do salonu. Stawałem w przejściu i obserwowałem wycieńczone atakami ciało Cole'a, upewniając się, że chłopak nadal oddycha. Potem frustracja i gniew nakazywały mi powrót do gabinetu, gdzie znowu zajmowałem się jałowym planowaniem.

Oczy piekły mnie ze zmęczenia, ale nie mogłem spać. Gdyby Cole się obudził, mógłbym z nim porozmawiać. Gdybym tylko wygrał pasjansa... nie mogłem ryzykować, że on się obudzi, a ja nie rozmawiam z nim od razu. Nie byłem pewien dlaczego, ale po prostu nie mogłem tego zaryzykować. Byłem pewien, że nie zasnę, wiedząc, że tymczasem on może odzyskać przytomność.

Kiedy zadzwonił telefon, kręciłem się akurat w fotelu. Pozwoliłem mu dokończyć obrót, po czym ostrożnie podniosłem słuchawkę.

– Halo?

– Sam – odezwała się Isabel. Jej głos był energiczny i rzeczowy. – Możemy chwilkę pogadać?

Pogadać. Żywiłem wyjątkowy rodzaj niechęci do idei telefonu jako medium dla pogawędek. Urządzenie nie pozwalało na przestrzeń w rozmowie, ani na ciszę, ani na oddechy. Albo się mówiło, albo milczało, a to drugie wydawało mi się nienaturalne.

– Tak – zgodziłem się ostrożnie.

– Nie miałam okazji wspomnieć ci o tym wcześniej – zaczęła Isabel. Wciąż ostro wypowiadała słowa, niczym windykator firmy telekomunikacyjnej. – Mój ojciec spotyka się z kongresmenem w sprawie ściągnięcia wilków z listy zwierząt chronionych. Pomyśl o helikopterach i strzelcach wyborowych.

Nie zareagowałem. Pozwoliłem fotelowi Becka obrócić się jeszcze raz. Czułem, jakby ktoś zamarynował mi oczy w czaszce. Zastanawiałem się, czy Cole już się obudził. Zastanawiałem się, czy wciąż oddychał. Przypomniałem sobie małego chłopca w wełnianej czapce, wepchniętego w śnieżną zaspę przez wilki. Pomyślałem o tym, jak daleko musi być teraz Grace.

– Sam, słyszałeś mnie?

– Helikoptery – powtórzyłem. – Strzelcy wyborowi. Tak, słyszałem.

– Grace postrzelona z odległości trzystu metrów. – Jej głos był opanowany.

To zapiekło, ale bardziej jak odległy, hipotetyczny koszmar. Jak katastrofa relacjonowana w wiadomościach.

- Isabel – rzuciłem – czego ty ode mnie chcesz?
- Tego co zawsze – wyjaśniła. – Żebyś coś zrobił.

W tym momencie zatęskniłem za Grace bardziej niż kiedykolwiek w ciągu minionych dwóch miesięcy. Tęskniłem za nią tak bardzo, że niemal się dławilem, jakby jej brak był czymś namacalnym, co utkwilo mi w gardle. Jej obecność nie rozwiązałaby żadnych problemów, ani nie sprawiła, że Isabel zostawiłaby mnie w spokoju. Ale gdyby Grace tutaj była, odpowiedziałaby coś Isabel. Wiedziała, że nie chcę tej odpowiedzi usłyszeć. Powiedziała mi, żebym poszedł spać, a ja potrafiłbym zasnąć. A wtedy ten straszliwy długi dzień wreszcie dobiegłby końca. Poczułbym ukojenie. A kiedy obudziłbym się rano, wszystko wyglądałoby na bardziej prawdopodobne. Poranek tracił swoje lecznicze moce, kiedy przybywał i znajdował cię z szeroko otwartymi oczami po bezsennej nocy.

- Sam... Boże, czy ja mówię do ściany? – Po drugiej stronie linii usłyszałem ciężki odgłos otwieranych drzwi samochodu, potem ostry wdech i głośny trzask zamykanego auta.

Uświadomiłem sobie, że jestem niewdzięczny.

- Przepraszam, Isabel. To po prostu był... to był naprawdę długi dzień.
- Coś o tym wiem. – Jej stopy chrzęściły na żwirze. – Wszystko z nim w porządku?

Poszedłem z telefonem w głąb korytarza. Musiałem poczekać chwilę, zanim mój wzrok przyzwyczał się do światła rzucanego przez lampy. Byłem tak zmęczony, że pod powiekami wirowały mi jasne cętki. Upewniłem się, że klatka piersiowa Cole'a unosi się i opada miarowo.

- Tak – wyszeptalem. – Śpi.
- Szczęściar... - z przekąsem skomentowała Isabel.

Zdałem sobie sprawę, że nie mogę już dłużej udawać, że mnie to nie obchodzi. Prawdopodobnie i tak zwlekałem z tym pytaniem zbyt długo.

- Isabel... - zacząłem. – Co się wydarzyło między wami dwójgim?

Dziewczyna milczała.

- Nie chcę się wtrącać w twoje sprawy – zawahałem się. – Ale obchodzi mnie, co wyprawia Cole.
- Och, Sam, już odrobinę za późno na to, żebyś zgrywał się na autorytet.

Chyba nie chciała być okrutna, ale jej słowa zabolaly. Miałem ochotę się rozłączyć, jednak wtedy przypomniałem sobie, co Grace opowiedziała mi o Isabel. O tym jak ta dziewczyna pomagała jej, kiedy wszyscy myśleli, że nie żyje.

- Po prostu powiedz mi. Czy coś jest między wami?
- Nie – warknęła Isabel.

Zrozumiałem prawdziwe znaczenie tego słowa. To było „nie”, które w rzeczywistości oznaczało „nie w tej chwili”. Pomyślałem o jej twarzy, kiedy zobaczyła strzykawkę leżącą obok Cole'a.

- On musi sobie poradzić z wieloma rzeczami – szepnąłem. – Nie nadaje się dla nikogo, Isabel.

Nie odpowiedziała od razu. Docisnąłem palce do skroni, czując nadchodzący ból głowy, jeden z tych, które dręczyły mnie od czasu zapalenia opon mózgowych. Wpatrywałem się w karty na ekranie komputera i widziałem, że nie mam więcej opcji. Według zegarka musiało upłynąć siedem minut i dwadzieścia jeden sekund zanim uświadomiłem sobie, że przegrałem.

- Ty też się nie nadawałeś – zauważyła Isabel.